(N. 1.)

DZIENNIK WILEŃSKI

ROK 1827. STYCZEŃ.

Dozwala się drukować. Dnia 17 stycznia 1827 roku.
Z polecenia JW. Wojennego Gubernatora Litewskiego.
Andrzey Bucharski Rzeczywisty Radzca Stanu i Kawaler.

W DRUKARNI A. MARCINOWSKIEGO.

DZIENNIK
WILEŃSKI.

ROK 1827.

LITERATURA NADOBNA.

TOM DRUGI.

W WILNIE W DRUKARNI A. MARCINOWSKIEGO.

Dozwala się drukować. Dnia 17 stycznia 1827 roku. Z polecenia JW. Gubernatora Wojennego Litewskiego,

Andrzey Bucharski,
Rzeczywisty Radca Stanu i Kawaler.

TOMASZ WALKER.

(Powieść gminna z pism Waszyngtona Irwinga).

W niewielkiey od Bostonu odległości, w prowincyi Massaczuzet, płynie krętém korytem, w przestrzeni mil kilku, dosyć szeroka rzeczka, wychodząca z Karolińskiey odnogi, a niknąca w rozległych błotach, gęstym zarosłych lasem. Z jedney strony rzeczki na brzegu, posępny gaik, z drugiey zaś wznosi się spadzista skała, na którey gdzieniegdzie sterczą starożytne ogromne dęby. Pod jedném z tych drzew olbrzymich, zakopany był, jak niesie podanie, skarb niezmierny przez zbóycę morskiego Kida. W rzeczy samey, bardzo było zręcznie, tajemnie pośród nocy, podwieźć rzeczką w łódce, złoto ku spadzistemu brzegowi. Z wysokiey skały, można było daleko sięgać okiem na okolice, czyli kto nie widzi, a po większych drzewach, łatwo rozpoznać mieysce, gdzie skarb złożony. Dodawało przy tém prostego ludu podanie, że duch nieczysty, do tego za zwyczay bywał obecny przy zakopywaniu takich skarbów, i brał je w swoję opiekę. Komuż prócz tego, nie wiadomo? że zakopane pieniądze, zawsze są jego zdobyczą, jeśli niecnotliwym zostały nabyte sposobem. Cokolwiek bądź, Kid nie przychodził po swoje zbiory, dla tego, że wkrótce po ich ukryciu, poymany był w Bostonie, zawieziony do Anglii, i tam powieszony.

Około 1727 roku, właśnie w tym czasie,

kiedy w Nowey Anglii, tak często się wydarzały trzęsienia ziemi, nie jednego grzesznika przywodzące do skruchy, żył w bliskości opisanego mieysca, ubogi nędzarz, zwany Tomasz Walker. Miał żonę, równie, jak sam biedną: i oboje w takiey żyli nędzy, że nie raz kradli jedno u drugiego. Żona wszystko sprzątała, cokolwiek wpadło w jey ręce: jeśli zagdakała gdziekolwiek kura? natychmiast usilnie strzegła, żeby pierwsza schwycić mogła jayko. Mąż wszystkie przetrząsać musiał kąty, chcąc wyszukać rzeczy schowaney i często mocne wszczynały się spory o to, coby bydź powinno wspólną ich własnością. Dom ich stał na ustroniu od wioski, i naynikczemnieyszą miał postać. Tu i ówdzie rosnące chwasty, znak niepłodności gruntu, otaczały nędzne ich mieszkanie, nigdy dym nie ukazywał się z ich komina, nigdy przechodzień nie stawał przy ich progu. Nędzna klacz, u którey zapadłe żebra policzyć można było, chodziła po sąsiedzkiém polu, zbierając mech ze starych kamieni, i tém tylko głód swóy drażniła. Często widziano, jak oparłszy głowę na płocie i żałośnie spoglądając na przechodzących, błagać zdawała się, żeby ją z głodnych tych stron wyprowadzili.

I dom i jego mieszkańcy nie dobrą mieli w okolicy sławę. Zona Tomasza niepospolitą była złośnicą — lubiła nayzaciętsze kłótnie i nie znała bynaymniey dobrych tych prostych prawideł: *trzymać język za zębami i rąk nierozpuszczać*. O mocy i rozległości jey głosu, sądzić było można, a to bardzo często, kiedy się kłóciła z mężem: pobita zaś twarz jego

świadczyła nie raz, że kłótnie ich nie zawsze na samych tylko kończyły się słowach. Sam jeden idący podróżny wzdrygał się od rozlegającego się znagła krzyku i uderzeń, poglądając z ukosa na tę jaskinią niezgody, podwajał kroki, a jeśli był nieżonaty dziękował niebu, że go dotychczas zachowało od stanu małżeńskiego.

Pewnego razu, Tomasz Walker zaszedł daleko w stronę od swojego mieszkania, a powracając mniemał, że przeydzie prostszą drogą; lecz zabrnął w błoto i zabłądził. Na błocie rosły ogromne sosny — niektóre dziewięć stóp wysokie — posępne ich gałęzie tak były gęste, że zasłaniały światłość w pośród dnia białego, i dla tego zewsząd tu zlatywały się sowy. Bagna i jamy, pokryte mchem i mułem zieleniejąc się na pozor, zwodziły często podróżnego i wprowadzały go w czarną zaraźliwą przepaść. W niektórych mieyscach okazywały się ogromne kałuże stojącey wody, zwykły przytułek, żab, ropuch, i wężów wodnych. Stare pnie, na pół przegniłe i konary drzew, wysuwały się na wierzch tey trzęsącey się okolicy i zdawały się bydź indyyskiemi krokodylami, sypiającemi w grząskich kałużach.

Daley a coraz daley przebierał się Tomasz przez ten las niebezpieczny, to przeskakiwał z kępy na kępę trzymając się za trzcinnik; chwiejąca się podpora wpośród głębokich topielisk! to łaził, czepiając się jak kot po pniach i kłodach. W bezustanném niebezpieczeństwie, żeby się nie oberwać i nie zagrząznąć, przestraszał się co chwila nagłym krzykiem sępa lub

dzikiey kaczki, wylatującey prawie zpod stóp jego. Nakoniec wyszedł na ziemię twardą, która końcem nakształt półwyspy dotykała środka ogromnego błota. Mieysce to służyło niegdyś za schronienie indyanóm, wojującym z pierwszemi europeyskiemi osadnikami tey krainy. Zrobili tam oni gatunek warowni, w którey ukrywali żony swoje i dzieci, uważając bez wątpienia za niedostępną. Lecz wtedy już z całey tey twierdzy, ocalały tylko niektóre słupy wbite mocno i zrównane z ziemią, a między niemi wznosiły się dęby i różne inne drzewa, których liście znacznie się różniły od posępnych sosen, rosnących na błocie.

Późno już było, kiedy Tomasz zbliżył się ku starey warowni. Chciał przy niey odpocząć. Ktobykolwiek był inny na jego mieyscu, nie zarazby się na to odważył, dla tego, że między prostym ludem, złe krążyły wieści o tey półwyśpie i opowiadano wiele dziwnych wypadków, zdarzonych na niéy, w czasie woyny Indyanów, zapewniano przy tém, że dzicy odbywali tu rozmaite czary, i składali ofiarę złemu duchowi.

Tomasz Walker nie był lękliwym, jak dziecko, usiadł na pniu obalonéy sosny, odpoczywał, przysłuchiwając się obrzydłemu skrzeczeniu ropuchy i mącąc kijem grzązką u nog swoich kałużę. Wtém kiy trącił się o cóś twardego. Tomasz wyciągnął go, i trupia czaszka, przebita indyyskim dzirytem, upadła przed jego stopami. Ze rdzy, pokrywającey ostrze dzidy, wnosić można było, jak wiele upłynęło czasu, od tey pory, kiedy ugodził śmiertelny pocisk, przywodzący

na pamięć okrótne bitwy ostatniey przeciw Indyanóm woyny. Krzyk mimowolny wyleciał z ust Tomasza. Zaczął obijać rdzę kijem.

Nie rusz czaszki!" odezwał się ktoś w bliskości, chrapliwym a groźnym głosem. Tomasz podniósł oczy i uyrzał naprzeciw siebie, siedzącego na pniu czarnego olbrzyma. Nie słysząc wprzódy żadnego szelestu, Tomasz nie mało się zdziwił; lecz jeszcze się bardziey zdumiał, doyrzawszy, ile mu ciemna posępność tego mieysca pozwalała, że nieznajomy nie był, ani Negrem, ani Indyaninem, chociaż odzież jego była wprawdzie indyyska. Czerwona przepaska, twarz ani biała, ani miedziana, lecz brunatna i okopcona, jak u kowala; długie kosmy czarnych włosów na głowie, częścią zgładzone, częścią rozwiane i pokręcone, na plecach topór. Czerwone, jakby krwią zalane jego oczy, zwrócone były na Tomasza.

„Co ty robisz na mojey ziemi?" rzekł chrapliwie.

„Na twojey ziemi? powtórzył Tomasz z uszczypliwym uśmiéchem" Ona równie twoja, jak „moja — Ona należy do X. Peaboli."

„Niech będzie przeklęty twóy X. Peaboli! „rzekł Czarny" „i mam nadzieję, że będzie „przeklęty, jeśli nie zacznie wstrzymywać od „grzechów, bardziey siebie, niżeli sąsiadów swo„ich! Spóyrzyy! oto co się dzieje z twym X. „Peaboli!"

Tomasz spóyrzał, gdzie mu pokazał nieznajomy, i uyrzał wielkie drzewo, piękne i świeże na pozor, lecz wewnątrz zgniłe i tak u spodu podcięte, że za pierwszém wiatru zadę-

ciem obalićby się mogło na ziemię. Na korze drzewa wyryte było imie X. Peaboli, znakomitego w owym czasie człowieka, który niezliczone zebrał bogactwa, przez handel z Indyanami. Wkrótce postrzegł Tomasz, że na wszystkich prawie, otaczających go, drzewach, znaydowały się imiona ludzi znakomitych w osadzie, a każde drzewo mniey lub więcey podrąbane było. To nawet, na którém siedział, podług wszelkiego podobieństwa, ścięte ledwie kilką chwil przedtém, miało napis z imieniem Kroutninczylda. Tomasz przypomniał, że tak się nazywał człowiek możny, marnotrawca niezmiernego majątku, zebranego, jak powiadano, rzemiosłem Flibustjera.

„Widzisz, co za przedziwny stos drzewa „będzie u mnie? Rzekł Czarny z uśmiéchem „piekielney radości, mam przy czém pogrzać się „zimą!”

„Ale jakimże to prawem” zapytał Tomasz: „rąbiész las X. Peaboli?”

„Prawa moje dawnieysze są od praw jego: „las ten należał do mnie, kiedy jeszcze, ani je-„den z białych ludzi, nie stąpił nogą na tę zie-„mię.”

„Mogęż bydź śmiałym zapytać: jak cię zo-„wią?”

„O! o! u mnie wiele nazwisk: w niektó-„rych mieyscach, nazywają mię *złośliwym strzel-„cem*; w innych *czarnym kopaczem*, a nay-„częściey *złym duchem*. Tu mi oddawa-„li pokłony, miedzianego koloru ludzie; mnie „na ofiarę kiedy niekiedy na gorejącym palili „stosie białego człowieka, jeśli chcieli o co-

„ kolwiek mię błagać. Odtąd, jak miedzianego „ koloru ludzie, przez was białych złoczyńców, „ wytępieni zostali, znayduję w tém pokarm i „ roskosz, żeby przygotowywać kary kwakróm i „ anabaptystóm, ja jestem opiekunem i doradz- „ cą kupców, handlujących niewolnikami, prze- „ wodnikiem salemskich czarodziejów."

„ Jeżeli się nie mylę" rzekł Tomasz: „ tedy „ ze wszystkiego domyślać się trzeba, że ty je- „ steś ten sam, którego zwykle nazywają *sta-* „ *rym.*"

„ On to jest właśnie, do usług twoich!" odpowiedział Czarny, skłaniając grzecznie głowę.

Taki był początek rozmowy, jeśli wierzyć mamy starodawnym kronikom, na których wszakże rzetelności bynaymniey polegać nie można. Każdyby pomyślił, że tak niespodziane olbrzyma spotkanie, w głuchém, ponurém mieyscu, zachwieje choćby naymężnieyszą duszę; lecz Tomasz był w tym względzie na wszelkie gotów doświadczenia. Nie łatwo można go było zatrwożyć: tak długo żył w towarzystwie swarliwey żony, że się już i samego czarta nie lękał.

Powiadają, że po takim wstępie mieli oni z sobą długą, a nader ważną, rozmowę. Kiedy Tomasz wracał do siebie, Czarny rozpowiadał mu o niezmiernych bogactwach, zakopanych przez zbóycę Kida, pod staremi dębami na skale w niewielkiey od błota odległości. Wszystkie te skarby, były pod jego dozorem, i do niego udawać się należało, chcąc ich dostać w swoje ręce; Czarny ofiarował je Tomaszowi, dodając, że czuje ku niemu *szczególnieyszą skłonność*, ale

i sam Czarny nie mógł ich ustąpić inaczey, chyba pod pewnemi warunkami — pod jakiemi? można to sobie wyobrazić, lubo Tomasz o tey okoliczności zawsze był skrytym i milczącym. Bez wątpienia warunki te bardzo bydź musiały surowe, z tego powodu, że Tomasz wymagał czasu do namysłu, nigdy zaś nie był ochoczym ociągać się dla fraszki, zwłaszcza kiedy szło o pieniądze. Nakoniec przyszli na granicę błota, i tu nieznajomy stanął.

„Jakież mam dać świadectwo o rzetelności „wszystkiego, coś mi powiedział?" zapytał Tomasz.

„Oto moja poręka!" odpowiedział Czarny, przycisnąwszy swóy palec na czole Walkera.

Po tych słowach, znikł między drzewa, a Tomaszowi się zdawało, jakby on zaczął nieznacznie zagłębiać się w ziemię, tak, że na powierzchni, zostały tylko głowa i ramiona, a wreście i te znikły.

Przyszedłszy do domu, Tomasz, znalazł u siebie na czole znak palca — piętno, jakby wypalone, które niczém zniszczone bydź nie mogło.

Pierwszey nowiny, udzieliła mu żona, o śmierci Absalona Kroutninczylda. Wspominając o niey nawiasem, pisma publiczne, ogłosiły ze zwykłą przemową: *wielki człowiek przeniósł się do wieczności!* Tomasz wspomniał naówczas o drzewie zrąbanem przez swego Czarnego przyjaciela, i przygotowaném do spalenia „Niech się pali!" zawołał „co mi tam do tego!" Lecz już żadna nie pozostała mu wątpliwość, że wszystko, co widział i słyszał, płonném nie było marzeniem. Tomasz nie miał zwyczaju wynu-

rzać się ze swemi skrytościami przed żoną, ale taką tajemnicę trudno mu było utrzymać w sobie, i wszystko wygadał. Skoro tylko godna jego połowica usłyszała o niezmiernym skarbie i o możności posiadania go, *zaostrzyła*, jak to mówią, *nań zęby*, i mocno nastawać zaczęła na męża, żeby zawarł umowę, od którey ich zbogacenie się zawisło. Dotychczas Tomasz i sam nie był dalekim od czartowskiey pokusy: lecz teraz zmienił myśl swoję: nie chciał się zaprzedać czartowi, lękając się dogodzić przez to żonie. Tak więc jedynie z uporu, odrzucił wszystkie ofiary Czarnego. Nie trzeba mówić, że po tém odrzuceniu domowa ich spokoyność zupełnie była zaburzoną. Im zaś więcey hałasowała i nastawała żona, tym uporczywiey mąż niczego uczynić dla niey nie chciał, a zwłaszcza, oddać się dobrowolnie w szpony wroga.

Naostatek sama żona, postanowiła doświadczyć szczęścia i nakłonić na swą stronę nieczystego ducha, byleby tylko samey jedney ze wszystkiego korzystać. Równie, jak mąż, gotową była bez zalęknienia, spóyrzeć w oczy szatanowi, i o to pod wieczor, udała się ku starey indyyskiey warowni. Długo ztamtąd nie powracała, a gdy przyszła, Tomasz zaledwie dopytać się mógł u niey odpowiedzi, tak była posępną i do mówienia niechętną. Przemruczała jednak pod nosem, cokolwiek, urywkowo, o widzeniu się z Czarnym, który podcinał u spodu ogromne drzewo, i, na nic nie zważając, nie chciał z nią zawrzeć przymierza; wreszcie drugi raz przyyść jey kazał, i to nie z próżnemi rękami, ale z czém? nie powiedziała. W samey rzeczy

nazajutrz wieczorem, wyprawiła się znowu na błota, sporo naładowawszy przywiązany do pasa fartuch. Po niejakim czasie, Tomasz wyszedł na jey spotkanie, lecz na próżno: już było i po północy, a żona nie wracała. Nadszedł dzień, nastąpiło południe, nastąpiła znowu i noc, a Walkerowey nie widać. Do jakiey Tomasz przywiedziony został boleści, z tego miarkować można, że ona uniosła z domu, imbryk od herbaty, szczupły zapas srebra, i wszystko co jakąźkolwiek wartość mieć mogło. Przeszła i noc druga, potém jeszcze jedna, a dobry mąż ciągle zostawał samotnikiem: nie było o żonie jak powiadają: *ani słychu, ani widu.*

Co się z nią stało, niewiadomo, szczególniey dla tego, że każdy o tém rozmaicie mówił. Jestto jeden z owych wypadków, które nie są objaśnione z powodu mnóstwa rozprawiających o nich dziejopisów. Niektórzy powiadają, że biedaczka zabłądziła w krętych po błocie ścieżkach, wpadła może do jakiey kałuży, albo ugrzęzła w bagnie: drudzy mniey życzliwi, dowodzą za rzecz pewną, że, okradłszy dom mężowski, przysporzyła kroku, i osiadła gdziekolwiek w obcey stronie, dla korzystania z zabranych rzeczy. Są i tacy, co mają podeyrzenie, czyli też zły duch kusiciel nie zawiódł ją w rów szeroki, na którego końcu, znaleźli jey kapelusz, dowód zaś, że tegoż wieczora, jakoby widzieli wysokiego człowieka, idącego z błota, z toporem na plecach, i z jakiemś zawinięciem pod ręką, bardzo podobném do zawinięcia zrobionego z fartucha. Uważać przy tém

mieli, że ów człowiek dzikim spoglądał wzrokiem, z tryumfu naynieszczęśliwszey wróżby.

Cóżkolwiek się stało, naywięcey wiary godni opowiadacze, zgadzają się przynaymniey na to, że Walker zaczął bardzo tęsknić po żonie, a bardziey po zabranych sobie rzeczach, i że nakoniec wyprawił się na szukanie oboyga strat swoich, do starey indyyskiey warowni. Zacząwszy z południa letnią porą, czynił bezskuteczne poszukiwania w ciemném tém mieyscu — nie znalazł, ani dostatków swoich, ani żony. Wołał jey często po imieniu, lecz odpowiedzi nie było: sęp tylko odzywał się krzykiem na głos jego i ropucha w blizkiém skrzeczała bagnie. Powiadają jednak, że nakoniec w tym właśnie czasie, kiedy zmierzch pokrywa lasy, kiedy sowa i nietoperze latać zaczynają; znagła zwróciło uwagę Tomasza krakanie wrony, ustawicznie latającey około wysokiego cyprysu. Podniósł oczy, i uyrzał rozwieszony na gałęziach fartuch z czémś okrągłém, w pośrodku ogromny jastrząb siedział nad nim, jakby na straży. Tomasz zadrżał z radości: poznał fartuch swey żony i spodziewał się w nim znaleźć cały swóy domowy dostatek.

„Choćby wreszcie odzyskać tylko swoje rze-„czy!” mówił, pocieszając tém siebie po drugiey stracie. Kiedy włazić zaczął na drzewo, jastrząb rozpuścił szerokie skrzydła swoje, i żałośnie krzycząc, poleciał przez gęste drzew gałęzie. Tomasz schwycił fartuch: lecz jakiż przerażający widok! znalazł w nim tylko serce i płuca.

Tu było — jeśli damy wiarę opowiadaniom,

naywięcey wiary godnym — wszystko, co mu zostało po żonie. Bez wątpienia, zachciało się jey postępować z Czarnym, podobnie jak z mężem, lecz chociaż złośliwą żonę uważają powszechnie za będącą w ścisłych przyjaźniach z szatanem; żona Tomasza, jak się pokazuje, nie zgodziła się z nim tego razu, i uległa zgubie. Walker zobaczył nawet koło drzewa ślady stóp, głęboko w ziemi wyciśniętych, i znalazł nieco włosów, zapewne wyrwanych z gęstych i czarnych kosmów *złego ducha.* Po tych znakach poznał on męztwo swey żony, którego nie raz doświadczył na sobie. Widząc, że tu zacięta odbyła się walka, Tomasz wzruszył ramionami i żałośnie powiedział: „biedny *zły duchu!* nie „łatwo tobie dostało się zwycięztwo!” Tak więc Walker pocieszył się ze straty rzeczy, utratą gospodyni; w głębi jego duszy rodziło się nawet cóś podobnego do wdzięczności Czarnemu, za okazanie mu tak wielkiey przysługi. Postanowił zabrać z nim ściśleyszą wiadomość, lecz im bardziey zabiegał drogę Czarnemu, tym więcey ten oddalał się od niego. Niech sobie kto, co chce mówi, a bies nie zawsze odzywa się na zawołanie, umie on zręcznie zagrać rolę, kiedy jest pewny wygraney.

Naostatek rzecz doszła do tego stopnia, że Walkerowi *choćby bić się głową o ścianę* tak się zachciało dostać do rąk zakopane skarby, że już zgoła nie myślał o warunkach. W nieszczęsny ten czas dla siebie, spotkał pod wieczor Czarnego: we zwyczaynym ubiorze drwala, z toporem na plecach, szedł on w dół po błocie i nócił piosnkę. Tomasz zabiegł mu znowu dro-

gę z nayuniżeńszym ukłonem. Gdzie tam, *zły duch* ani patrzy, *zły duch* odpowiada zimno na wszystkie grzeczności i daley pomrukiwa sobie pod nosem. Powoli, powoli, udało się przecież Walkerowi naprowadzić rozmowę o rzeczy, na którey wspomnienie wszystkie żyłki w nim drgały, i oto: zaczęły się umowy. Nie ma potrzeby mówić, o głównym warunku, bez którego, naymnieyszey od Czarta otrzymać nie można łaski. Były i inne warunki takie, że Tomasz, pomimo naygorętszey żądzy osiągnienia skarbów zbóycy, nie mógł słyszeć o nich bez wstrętu. Naprzykład: Czarny wymagał, ażeby wszystkie pieniądze, jakie mu da, na jego pożytek użyte były, żądał z początku zmusić Walkera do zaprowadzenia handlu niewolnikami, to jest: zbudować okręt, i popłynąć na zakupienie Negrów. Ale temu odmówił Walker. Był on na wszystko złe gotów, ale do przedawania niewolników, sam Czart przymusić go nie zdołał. Każdy ma swóy sposób myślenia.

Widząc, że Tomasz żadnym sposobem nie zgadza się na to: Czarny nie nastawał, lecz w zamianę radził mu zostać lichwiarzem. Któż bliższy i milszy dla Czarta, jeżeli nie szanowne towarzystwo lichwiarzy — ulubione plemię, natchnione duchem i wybiegami jego. Tomasz nie znalazł tu przeszkody: podanie to zgadzało się z jego widokami.

„A zatém, w przeciągu miesiąca, założysz „kupiecki kantor w Bostonie?” rzekł Czarny.

„Jutro nawet, jeśli tego potrzeba!” odpowiedział Tomasz.

„Będziesz oddawał na lichwę pieniądze, po „dwa od sta na miesiąc?"

„Po cztéry!"

„Będziesz wymawiał, wyciskał, wexle po „wexlach, zastawy po zastawach: będziesz po„budzał do bankructw, przywiedziesz ku„pców...?"

„Przywiodę ich do Czarta!" podchwycił Tomasz.

„Wyśmienity z ciebie lichwiarz, godzieneś „moich pieniędzy!" zawołał Czarny z zapałem: „kiedyż więc zaczniesz?"

„Dzisieyszey nocy."

„Przedziwnie!" powiedział Czart: „day „rękę" rzekł Tomasz Walker.

Podali sobie ręce i zawarli umowę, a w kilka dni Tomasz Walker, siedział już w Bostonie, przy kantorze swoim. Wkrótce potém rozeszła się pogłoska, że on jest człowiekiem bogatym, i z łatwością pieniędzy pożyczać u niego można. Każdy pamięta czasy, rządzcy Bel-kera, kiedy raptownie pieniądze rzadkiemi się stały. Wprowadzono we zwyczay pieniądze papierowe i w nich pokładano ufność: wszystkie prowincye napełnione były biletami rządowemi, ustanowiony został znakomity *Bank Krajowy*: zapał spekulacyyny rozprzestrzenił się do nieuwierzenia, każdy był omamiony nadziejami swojemi; chcieli stawiać nowe gmachy, nowe miasta budować w pustyniach; frymarczyć zaczęli różnemi przywilejami, z których złote sobie marzyli góry, i wszyscy z ochotą kupować je chcieli za gotowe pieniądze, chociaż nikt nie wiedział, w czém się te

ukrywają bogactwa; słowem: spekulacyyna gorączka, doszła do naywyższego stopnia, a każdy myślał, jakby cośkolwiek zrobić z niczego, kiedy znagła, podług zwyczaju, ogień zagasł, sny znikły, a z niemi i pochodzące od nich bogactwa. Chorzy zostali w nayokropnieyszém położeniu, i w każdey stronie dotkniętey powszechną klęską, słyszeć się dały wołania: „*ciężkie czasy!*”

W owym to właśnie czasie powszechney niedoli, Tomasz Walker założył swóy lichwiarski kantor, który wkrótce napełniony był potrzebującymi: niezręczne trzpioty, gracze, nudne gaduły, handlarze przywilejów, kupcy tracący kredyt, słowem: wszyscy, którzy tylko przymuszeni byli dostawać pieniędzy, sposobem ludzi rozpaczających, i za jakąkolwiek bądź cenę, tłumami zbiegali się do nowego lichwiarza. Tak więc Walker stał się przyjacielem wszystkich nieszczęśliwych, a co większa! *przyjacielem doświadczonym*, to jest: zawsze, na swoje szczęście, brał wiele pieniędzy i ogromne procenta. Im nieszczęśliwszy był pożyczający, tém uciążliwsze czynił z nim umowy; ładował swóy kantor wexlami i zastawami; stopniami wyciskał, że tak powiem, krew ze swoich dłużników, i nakoniec, zupełnie ogołoconych w świat puszczał.

Takim sposobem pieniądze skupiały się mu do rąk; stał się naybogatszym i nayznakomitszym z mieszkańców Bostonu, wystawił, podług zwyczaju i własney próżności, dóm wielki i okazały; lecz skępstwo nie pozwoliło go dokończyć, i przyzwoicie ozdobić. W upojeniu dumy, kupił sobie karétę, lecz morzył głodem,

parę biédnych koni, kupionych do jey ciągnienia; kół tey karéty nigdy nie smarowano, a kiedy nieznośne ich skrzypienie, dokuczało właścicielowi, wówczas mniemać można było, że się rozlegają jęki nieszczęśliwych ofiar, jego łakomstwem zgubionych.

Tymczasem, starzejąc się, rozmyślać począł. Kończąc bieg swóy życia na tym świecie, z niespokoynością myślał o drugim. Jak smutny sen, snuła się mu po pamięci, umowa, z Czarnym jego przyjacielem zawarta, i wysilał swóy rozum nad wymysłami, żeby jakimkolwiek bądź sposobem, ciężkich uniknąć warunków. Nagle z gorliwością odwiedzać zaczął kościoły; modlił się gorąco i głośno, każdey niedzieli, z mniey lub więcey głośnego jego wołania, miarkować można było, jak wiele przez ów tydzień nagrzeszył. Scisłe przez Tomasza wykonywanie obrządków religiynych, już się prawie równało z dokładnością jego w wypełnianiu spraw pieniężnych; stał się surowym postrzegaczem i sędzią sumnienia sąsiadów swoich, tak właśnie, jak gdyby grzechy ich, na jego rachunek obrócone bydź miały: chciał nawet odnowić prześladowanie kwakrów i anabaptystów, słowem: gorliwość Tomasza, w tey rzeczy, podobnież się rozsławiła, jak i jego bogactwa.

Pomimo tego jednak, straszliwie się lękał Walker, żeby się czart nie odezwał z prawami swojemi.

Powiadają, że Tomasz, w starości, małego dostał pomieszania, a przeczuwając zbliżający się koniec dni swoich, kazał osiodłanego, zakiełzanego, i okutego konia zakopać do ziemi

do góry nogami, w mniemaniu, że w dzień skończenia świata, znaydzie konia swojego na pogotowiu: wtedy bowiem jeszcze spodziewał się ukazać na starym swym rumaku. Wreszcie, nic dziwnego, jeśli to tylko same opowiadały staruszki.

Ale chociaż zachował tę ostróżność, była mu ona niepotrzebną, przynaymniey zapewnia o tém dawne, niekłamliwe podanie, które tak kończy tę powieść:

W gorące południe, w czasie naytęższych upałów, a mianowicie w tey chwili, kiedy się zaczął okropny deszcz z burzą, Tomasz siedział w swoim kantorze, w białey czapce i w jedwabnym indyyskim kaftanie. Gotował się on na wzięcie zastawu, i dogubienie do reszty nieszczęśliwego spekulanta, któremu zawsze nayczulszą okazywał przyjaźń.

Nieszczęśliwy prosił o trzymiesięczną zwłokę: Tomasz coś nie był w humorze, i więcey nad dzień jeden odwłoczyć nie chciał.

„Rodzina moja, rozpierzchnie się po świe-„cie, z przyczyny tego zniszczenia!" rzekł nieszczęśliwy.

„Trzeba, przede wszystkiém, mieć litość „nad samym sobą" — odpowiedział Tomasz — „i mnie też, choć cokolwiek, pomyśleć o so-„bie należy; teraz są ciężkie czasy."

— „WPan już tyle wycisnąłeś u mnie pie-„niędzy!" rzekł spekulant. Tomasz stracił zupełnie cierpliwość.

„Niech mię czart porwie" — krzyknął; „jeśli ja choć jeden madr..

W tém się znagła rozległy trzy mocne we drzwi uderzenia. Tomasz poszedł zobaczyć,

coby to było? Czarny trzymał za uździennicę konia, który rżał i rwał się, tupając z niecierpliwości nogami.

— ,,Tomaszu! godzina twoja nadeszła!" rzekł Czarny surowym głosem. Tomasz chciał uciekać, lecz było zapoźno. Nigdy żaden grzesznik, tak znienacka podchwyconym nie został. Porwał go Czarny, jak dziecię, posadził na siodle, i zaciął biczem konia, który, jak błyskawica, zniknął, nie zważając na deszcz i burzę. Piszący w kantorze Tomasza, założywszy pióra za uszy, z podziwieniem patrzali przez okna. Tomasz leciał przez ulice Bostonu, czapka się mu trzęsła na głowie, kaftan jego na wszystkie strony wiatr rozwiewał, a z podków konia iskry się sypały potokiem. Tymczasem, służący w kantorze nie znaleźli już Czarnego: i on zniknął.

Tomasz Walker, nie wracał już po zastaw nieszczęśliwego swego dłużnika. Wieśniak, mieszkający nie daleko błota, upewniał, że podczas burzliwego deszczu, nagle usłyszał tentent rżącego i biegącego konia, a zbliżywszy się do okna, uyrzał człowieka, odzianego, jak wyżey opisano, na koniu, rączo pomykającym się ku błotu i warowni indyyskiey. W kilka chwil, przerażająca błyskawica zajaśniała w tymże kierunku, i las cały w ogień zamienić się zdawał.

Dobrzy mieszkańcy Bostonu, trzęśli głową, i wzruszali ramionami. Od czasu zaprowadzenia osady, tak już przywykli byli do czarodziejów, widmow i innych figlow szatana, że nie tyle to ich strwożyło, ileby sądzić o tém wypadało. Wyznaczyli komissarzów, dla spi-

sania majątku Tomasza. Lecz praca ich nie była trudną. Przetrząsłszy kufry lichwiarza, znaleźli w nich wszystkie jego pieniądze i wexle obrócone w popiół. Zamiast złota i srébra, okuta żelazem jego szkatułka, napełniona była trzaskami. W stayni ukazały się dwa skielety, zamiast pary koni, które wprawdzie i za życia, nie lepiey wyglądały: a nazajutrz i cały dóm stawszy się pastwą płomieni, pokrył ziemię swém zwaliskiem.

Taki był koniec życia Tomasza Walkera, i źle nabytych jego bogactw. Niechay wszyscy szkaradni lichwiarze, na pamięć się nauczą tey powieści. Rzeczywistość jey niewątpliwa i teraz jeszcze widzieć można u stóp wielkiego dębu jamę, z którey on skarb wydobył. Na sąsiedzkiém błocie i w indyyskiey warowni, w czasie burzliwych deszczów, często się ukazuje widmo na koniu, w kaftanie i czapce: bez wątpienia bydź to musi postać tego grzesznika. Sama powieść, poszła u prostego ludu w przysłowie. Bardzo często usłyszyć można w Nowey-Anglii: *o Czarcie i o Tomaszu Walkerze.*

UROJENIA.

WOLNY PRZEKŁAD z Schillera: *die Ideale.*

Chcesz więc odlecieć niewiernie
Złoty czasie dni moich na skrzydle odmiany,
Lube kwiaty urojeń i boleści ciernie
Unosząc nieubłagany?

I nicże cię nie wstrzyma, i nic nie przebłaga,
Ni prośba tak bolesna, ani żal tak szczéry?
Darmo! pędzi twe nurty nieprzeparta flaga
W bezdenne wieczności wiry!

Te słońca, co pod słodkim wzrastałem ich wpływem,
Już zakrył obłok zamierzchły.
Marzenia wypieszczone pod sercem szczęśliwem
Jakże się nagle rozpierzchły!
Gdzieżeś w mych snów utwory młodociana wiaro?
Próżno do nich lgnę myślą i duszą w nię siękę,
Srogiey rzeczywistości padło już ofiarą,
Wszystko, co kiedyś było tak boskie, tak piękne!

Jak niegdyś Pigmalion wśród lubych omamień
Czcił błagalnem życzeniem własney ręki dzieło,
Aż dopóki w zimny kamień
Gorejące miłości czucie nie wpłynęło;
Z równym młodzieńca zapałem,
Z równą miłości siłą,
Ja w czułych przyrodzenie ramionach ściskałem
Póki w mey wieszczey piersi nieożyło!
I dzieląc moje ogniste zapały,
Nieme, znalazło mowę — oddało mi za nie
Słodkie miłości pocałowanie,
I głos serca mojego był mu zrozumiały.
Wtenczas mi żyła róża — żył mi głazu kawał,
Spiewały źródeł odbicia,
A odgłos mojego życia
I lodom czucie nadawał.
Gdym się w szranki życia wdzierał
Wszechmocnych jakichś dążeń pałącemi woy ny,
Jakiś ogół niespokoyny
Ciasną wtedy pierś rozpierał.

Jakże świat ten był wspaniały,
Gdy go jeszcze mym oczom krył obłoczek ciemny—
Rozwinął się ! . . . jakże mały!
A ten mały . . . jak nikczemny ! . . . .

Nie więziony troski sidłem,
Szczęśliwy snem swojey wiary,
Młodzian zuchwałey odwagi skrzydłem
Puścił się w życia obszary.
Zamysłów swoich polotem
Gwiazdy Eteru prześcignął,
Był za niebios kołowrotem!
Nic daleko! nic wysoko!
Gdzie myśl sięga zaledwie, gdzie już ślepnie oko,
Wszędzie go popęd jey dźwignął ! . . .

Na jey tchnieniu niewstrzymanem
Jak tam wzleciał szczęśliwy bez żadney zawady!
Jak lekkolotnych istot pląsały gromady
Przed życia jego rydwanem.
Miłość z nagrodą słodką i czystą,
Szczęście z złotemi na czole przepaski,
Sława z koroną gwiazdzistą,
Prawda stroyna w słońca blaski! . . .

Lecz ach! w zawodzie niedługim
Sród drogi towarzysze rzucili nayszczersi —
Uleciał jeden po drugim,
Od kochającey ich piersi.
Szczęście stopą powietrzną odbiegło za góry,
Chęci poznań zostały bezdenne i wieczne,
A wątpliwości nieprzeyrzane chmury ,
W koło zaległy prawdy oblicze słoneczne.

Widziałem uwieńczone dość zwyczayne czoła,
Swiętą sławy obwódką.
Chwila miłości wesoła.
Trwała niestety! zbyt krótko! . .
I coraz było ciszey — i zawsze . . . i zawsze
Samotniey, puściey, przedemną.
Bezdroża coraz chropawsze,
Ledwie światła nadziei, coraz to bladawsze,
Padały na ścieżkę ciemną.

I z tey niegdyś weselney, z tey tak szumney rzeszy,
Cóż dziś kochającego pozostało przy mnie?
Kto mię wesprze? kto pocieszy?
Kto stuli oczy moje w ostatecznem zimnie?
Ach ty! wcześnie szukana, znaleziona rychło,
Gotowa na ofiary bez łez i bojaźni,
Tyś mi tylko dotrwała, gdy wszystko ucichło,
Ty tylko, luba Przyjaźni! . . .
I ty, co się z nią łączysz, krwawa i mozolna,
Chętna wesprzeć, gdy wichry w duszę zakołacą,
Co do wieków budowy dłoń wyciągasz zwolna,
Co płacisz ziarnko piasku, ziarnkiem piasku: Praco!
Twoja nie myli zapłata,
Ty liczysz światu z wielkiey czasów winy
Drobne chwilki i godziny,
Dnie i nieprzeżyte lata.

Maurycy Gosławski.